
Miałem za sobą, najprawdopodobniej, dziewięć sal i wkroczyłem do kolejnej. I tu czekała mnie niespodzianka. Była ona przy tym naprawdę zaskakująca. Na widok niewielkiego obrazu (ok. 40 cm x ok. 25 cm) zawieszono na wprost wejścia, więc wyeksponowanego, pomyślałem: „Rany Boskie, ani jednego ciała. Tylko chmury. To chyba John Constable”. Błyszno mi bowiem w głowie, że mam przed sobą jeden z setek obrazów, jakie ów Anglik poświęcił chmurom, którymi był zafascynowany (zresztą nie tylko nimi). To było kilka sekund, gdy brałem pod uwagę tę oto możliwość, że w zbiorach wrocławskich znajduje się – a dlaczego nie? – jedno ze „Studiów chmur” Constable’a.



John Constable

Na tabliczce było jednak napisane, że akurat to „Studium chmur” utrwalił farbami olejnymi Niemiec Friedrich Philipp Reinhold (zresztą współczesny wspomnianego Anglika).

Owo płótno przyniosło mi to, co nazwę – bez żadnej przesady – estetycznym wyciszeniem. Równocześnie stanowiło – zaproszenie do zaznajomienia się, z prezentowanymi w kilku kolejnych pomieszczeniach, obrazami, wśród których było wiele pejzaży. Na niektórych spośród nich, w pierwszej chwili ludzkich sylwetek w ogóle się nie dostrzega. A jeśli widzi się tylko jedną, to jest nią pasterza z rozproszonym stadem.

Na obrazie „Wieczór”, malarza rosyjskiego Wassilija Kandinskiego, postacie są dwie: nad brzegiem zbiornika wodnego bądź rzeki stoi/tkwi kobieta w kapeluszu. W kapeluszu jest również stojące tuż obok niej dziecko.

Po zamknięciu okazałych drewnianych drzwi skierowałem się do jednego z dwóch bocznych korytarzy, w którym stoi kilka ław drewnianych, ale o miękkich siedziskach. Zająć miejsca, na któreś z nich (ewentualnie na innym piętrze) należy do tradycji związanej z moimi wizytami w tym muzeum. Lubię bowiem wczuwać się w jego atmosferę: wyciszenie, uspokojenie, fakt obecności wokół mnie, choć w różnych odległościach, wielu (no bo nie wszelkich) przedmiotów będących źródłem moich doznań, w tym także wzruszeń, estetycznych. A do tego, co zawsze dla mnie było i jest bardzo ważne, będących głosem /

przekazem z czasów minionych, często odległych: przywoływaniem tego, co minęło (nie tracę nadziei, że nie bezpowrotnie). Muzea nie są, mimo przechowywania obiektów pochodzących z przeszłości, kapsułami czasu, ale są miejscami, gdzie on – jak dla mnie – płynie wolniej. I jest to jeden z powodów tego, że muzea lubię. Muszę jednak wspomnieć, że owo lubienie nie dotyczy muzeów sztuki współczesnej (choć owa współczesność bardzo szybko staje się przeszłością). Takie placówki już od blisko 20 lat omijam szerokim łukiem (głównie ze względu na fakt nobilitowania przez nie pseudosztuki w postaci, przykładowo, dwóch skrzyżowanych patyków). I choć interesuje mnie terażniejszość, to nie zapominam, że składa się na nią prawie wyłącznie, a może wręcz wyłącznie, to, co było („teraz” to przecież ledwie chwila). Inaczej tego określić nie można.

Nie, nie traktuję muzeów, jak i innych obiektów/institucji związanych ze sztuką, jak świątyń, a sztuki, jako swego rodzaju religii (kto bądź co miałoby w takim przypadku pełnić rolę Boga?). Co to, to nie!

Ale na przykład z ust Glenna Goulda padło i takie stwierdzenie:

„[...] sztuka stać się może narzędziem zbawienia, a artysta misjonarzem”.

Tryb przypuszczający niczego nie zmienia: istotne jest to, że taka możliwość była / jest brana pod uwagę.

Traktowanie sztuki w kategoriach religijnych, jak można by podejrzewać – w każdym razie takie podejście długo żywiłem – nie jest wcale zjawiskiem dwudziestowiecznym. O czym świadczą na przykład Wykłady o estetyce Georga Wilhelma Friedricha Hegla. W nich zaś znajduje się m. in. i taka zdecydowana deklaracja:

„Wyrośliśmy już z tego, byśmy mogli dziełom sztuki oddawać cześć boską”.

Nabożny stosunek do sztuki dawał o sobie znać już przed rokiem 1770, to znaczy przed narodzinami Hegla. Takie podejście do niej zapoczątkowali artyści renesansu.

Obejrzone z przyjemnością „Studium chmur” Reinholda oderwało mnie (to dobre określenie, mimo zwiewności chmur) od ziemi, a może nawet od Ziemi. Lecz to „oderwanie” trwało tylko czas jakiś. Do tej zmiany przyczyniła się z kolei, bardzo często do mnie powracająca, sentencja z Marcusa Tulliusa Cicerona:

„Co jest pod nogami, na to nikt nie patrzy; śledzą okolice nieba”.

Dariusz Pawlicki



Zofia Grabowska-Andrzej

Współbrzmiący dwugłos

W poznańskim Wydawnictwie Literackim ATENA wyszedł tom poezji znanych mi osób, z nieznanym mi słowem w tytule, którego znaczenia zaledwie mogłam się domyślać, ale to nie wystarczy, by mieć pewność. Moje podejrzenie, że znaczy ono Laponia potwierdziła **Maria Magdalena Poczaj**, poznanianka i bamberka, współautorka tomu pod pełnym tytułem „SÄPMI. Wiersze z Północy”. Stanowi on – jak to określiła inicjatorka publikacji – „dwugłos poetycki”. I słusznie, bo na całość składają się jej wiersze i wiersze **Andrzeja Szmała**, poznaniaka od lat mieszkającego w Laponii.

Przyznam, że nie lubię, gdy poeci lekturę swych wierszy poprzedzają takimi informacjami jak: cytuję mały fragment – „Krótkie poetyckie notatki są próbą zobrazowania stanów emocjonalnych i duchowych, jakie towarzyszyły mi w zetknięciu z tamtejszą przyrodą, zwłaszcza...”. Odbieram je jako brak zaufania zarówno do własnej poezji jak i indywidualnego jej odbioru przez poszczególnych czytelników. Tym razem autorom wybaczę. I wcale nie „po znajomości”, lecz dlatego, że genera tych wierszy jest niecodzienna, a przyroda Laponii unikalna i niedostępna czytelnikom, do których jest kierowana.

Na pewno dobrym rozwiązaniem jest przyjęta przez oboje autorów zasada podawania pod wierszem miejsca i daty jego powstania.

Już okładką, przedstawiającą las zatopiony w wodzie, jakby „do góry nogami”, autor zdjęcia Andrzej Szmał doskonale sygnalizuje inność krajobrazu i oświetlenia. Bo to doświadczony fotografik i autor diaporam, poeta, który wreszcie zdecydował się na debiut książkowy. W przeciwieństwie do niego Maria Magdalena Poczaj to doświadczona autorka, mająca na swym koncie już 16 tomików oraz ciekawe i piękne odwrócenie tego, co zwykliśmy nazywać ilustracją. Będąc plastyczką, uprawiającą rysunek i fotografię, w 2003 roku zilustrowała słowem – oczywiście poetyckim – album zdjęć Antoniego Ruta przedstawiający „Wierzyby Wielkopolskie”. Efekt? – Doskonały. Partnerzy godni siebie i zachwytu odbiorców.

Obrazy wiersz w różnych porach dnia, roku, przechodzą od fotograficznej rzeczywistości ku metafizycznemu odrealnieniu. Oglądamy je poprzez rozmyty błękit zmierzchu, w blasku księżycy wśród niesamowitej czerni nocy, aż do zupełnego odrealnienia w płaskim lodowym reliefie wykutym „dłutem mrozu... w srebrze nocy”. Wyobraźnia poetki współgra z wrażliwością fotografika. Twórcy odślaniają nie tylko urodę, także okaleczenie i przemijalność. Nie sposób zaprezentować pełną harmonię obrazu i słowa bez pokazania jedno-

(Dokończenie na stronie 10)